

# Janusz Korek

---

## Prywatna książka narodów

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (26), 176-189

---

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Janusz Korek*

## **Prywatna książka narodów**

Józefa Lewandowskiego spotkałem po raz pierwszy chyba jakieś siedem lat temu. Do dzisiaj jednak stanowi on dla mnie zagadkę. Coraz częściej przypada mi do gustu zdanie, chyba Irzykowskiego, że ludzie są podobni górom, które stykają się tylko podnóżami, gdy szczyty ich pozostają zazwyczaj niedosięte w chmurach.

Jako świeży emigrant polityczny z PRL-u, podejrzliwie słuchałem, podczas naszych pierwszych spotkań, wynurzeń Lewandowskiego, który do budowy tegoż PRL-owskiego systemu ręce przykładał. Dobrze mu znane postacie z kręgów warszawskiej władzy, co wynikało z zażyłego tonu, mnie znane były jedynie jako oficjalne i niezbyt podziwu godne marionetki nielubianego reżimu (np. *casus* profesora, Przewodniczącego Rady Państwa – Henryka Jabłońskiego). Zrozumiałe więc, że nie doszło wtedy między nami nawet do zetknięcia podnóży, bo doliny zawsze, jak wtedy myślałem, leżą zupełnie gdzie indziej.

Z czasem wczytując się pilnie, choć nie bezkrytycznie, w publicystykę historyczną i socjologiczną Lewandowskiego, zamieszczaną między innymi w „Kulturze”, spostrzegłem, że się mylę. Trudno było bowiem uznać autora np. *Rozważań metafizycznych*<sup>1</sup> za gorącego, czy choćby

---

<sup>1</sup> „Kultura” 1971 nr 11.

letniego, zwolennika systemu, który rzekomo chciałem obalić. Ale tę pomyłkę można było naprawić najłatwiej. Trudniej natomiast było zrekonstruować, z jego czasami dość długich dygresji wygłaszanych na seminariach z historii Polski, prawdziwą mapę topograficzną jego prywatnej doliny. Dolina ta – wyżłobiona przedwojennymi, wypalona wojennymi i zdeformowana powojennymi doświadczeniami polskiego Żyda – leżała nadal daleko, choć inaczej i już bliżej mojej własnej – formującej się w czasach gierkowskich – kotlinki.

Żydzi tam dotychczas po prostu nie mieszkali. Ba, nawet sam problem żydowski tak naprawdę tam nie istniał. W kotlinie tej nie mieszkaly także i inne, składające się na ludność II Rzeczypospolitej, nacje. Przypominam sobie, jak jednemu z moich kolegów szkolnych – po wyjściu na jaw rosyjskiej nazwy miasta jego urodzenia – usiłowano nadać przezwisko „Kacap”. Nikt nie odbierał tego wtedy (być może oprócz samego przezywanego) w kategoriach narodowościowych. Dzisiaj gotów jestem winić w tym wypadku raczej skłonność wieku do nadawania i używania przezwisk, niż ksenofobię, czy nawet urazy antysowieckie. Nawiasem mówiąc przezwisko to się nie przyjęło.

Nie wiem, czy „obojętność narodowa” mojego pokolenia (może lepiej mówić o sobie i znajomych?), to efekt szkolnego wychowania, środowiskowych tradycji, czy może bardziej ich braku...? Wiem natomiast, że neutralność wobec kwestii narodowościowych wynikała także z nieobecności tego tematu w życiu publicznym, choć także – w przypadku Żydów – i towarzyskim. Znowu pamięć podszeptuje błahę niby zdarzenie. Kiedyś, w większym gronie osób, zapytano mojego przyjaciela, czy jest Żydem... I znowu – tutaj jestem gotów głowę na pniu położyć, bo pytał młody filosemita – intencje pytania były najzupełniej niewinne. Niemniej jednak spora część obecnych zamilkła i skierowała oczy na pytającego, jakby popełnił jakiś wielki nietakt.

Obowiązujące w społeczeństwie dorosłych tabu, do tego stopnia było stabuizowane, że nawet jego zakazów nie ośmielano się przekazywać dalej. W ten sposób ksenofobiczny proceder miał szanse na zaniknięcie lub, w gorszym przypadku, był spychany do podświadomości. Jednocześnie zanikał wraz z nim jego przedmiot. W przypadku Żydów było to tym straszniejsze, bo, po holocauście fizycznym, nadchodziły czasy zagłady pamięci. Było to tym łatwiejsze, że Żydów w latach siedemdziesiątych już prawie nie było w Polsce także fizycznie. Ocalałe

z wojny ślady ginęły, bądź przez zapuszczenie, jak np. cmentarze, bądź były świadomie niszczone.

W przypadku moim i mnie podobnych, zamieranie tego hermetycznego splotu było, jak sądzę, korzystne w jednym, jedynym aspekcie (oczywiście przy ówczesnej mojej nieświadomości pozostałych). Jedyłą korzyścią więc, której nie należy przeoczyć, było pozbycie się, czy raczej nie nabycie resentymentów narodowościowych, urazów rasowych czy szowinistycznych pretensji. Jednym słowem, uważam, że kosztem pamięci Żydów, a także kosztem wiedzy o innych narodowościach zamieszkujących dawną Rzeczpospolitą uniknąłem (uniknęliśmy?) zaccadzenia ksenofobicznego... Wiem. Nie ma się czym chwalić. Stwierdzam tylko fakty. Dzięki temu jednak, mogłem bez uprzedzeń, i czasami nawet może nazbyt zimno – śledzić topografię doliny Lewandowskiego.

Góra przyszła pocztą. Któregoś dnia znalazłem bowiem w mojej skrzynce szarą kopertę, a w niej opatrzoną dedykacją, książkę *Cztery dni w Atlantydzie...*

Czytając *Cztery dni w Atlantydzie*<sup>2</sup> stanąłem przed problemami różnorodnej natury. Książki nie pisał bowiem tylko historyk, którym z zawodu jest jej autor. Nie pisał jej także, rejestrujący zmieniające się otoczenie i koleje swojego własnego losu, pamiętnikarz. Nie pisał jej wreszcie, pragnący za wszelką cenę zrealizować wizję pojednania między narodami, nieprzejejdany utopista. Pisał ją natomiast świadomy warsztatu literackiego pisarz, który, po udanym stopieniu wszystkich wyżej wymienionych ról w jedną, przemówił jasnym i klarownym językiem, wyznając osobistym tonem uniwersalne przesłanie.

Aby zrozumieć cokolwiek z przedsięwzięcia Lewandowskiego należy poczynić kilka uwag wstępnych. W jego książce można wydzielić trzy plany wydarzeń. Pierwszy, to odwiedziny w rodzinnym miasteczku. Bohater–narrator, opuszczając je w końcu 1939 roku, przybywa po ośmiu latach nieobecności, aby nie tylko przekonać się, kto ocalał i co przetrwało, ale także, by rozeznać się we własnej tożsamości. To postanowienie (niezbyt zresztą jasno uświadamiane sobie wtedy przez bohatera) otwiera drugi plan, w którym rozgrywają się wydarzenia z przedwojennego dzieciństwa oraz wydarzenia wojenne. Oficer

---

<sup>2</sup> J. Lewandowski *Cztery dni w Atlantydzie*, Uppsala 1991, Ex libris.

Ludowego Wojska Polskiego, którym jest bohater, przechadza się więc po prowincjonalnym miasteczku, a przedwojenne realia sąsiadują z faktami lat okupacji i nową, powojenną rzeczywistością. Tyle tytułem wstępu.

Istotne, że relacja z tej wizyty sporządzona jest około czterdzieści lat później, a więc trzeci (najbardziej dyskretny) plan książki rozgrywa się pod koniec lat osiemdziesiątych — i z tej perspektywy przemawia do czytelnika bogaty w doświadczenia i refleksje minionego czterdziestolecia narrator. Ważne jest także, że osią, wokół której krystalizuje się problematyka książki, jest życie przedwojennej prowincji. „Wielonarodowości” i związanym z nią napięciom towarzyszą tutaj różnice społeczne i mentalnościowe, choć codziennego życia nie przytłacza cień nadchodzącej katastrofy, niewidoczny jeszcze z perspektywy małego miasteczka.

Wielości planów towarzyszy wielość źródeł, do których narrator sięga (lojalnie o tym uprzedzając). Znany bohaterowi z własnej obserwacji wydarzeniom lat 1947 (choć także i późniejszym), towarzyszą wspomnienia z lat dziecińczych oraz, poznawane z relacji znajomych, wydarzenia okupacyjne. Wieloletni dystans czasowy i osobisty ton narracji niwelują jednak różnice statusu wykorzystywanych źródeł i powodują, że subiektywny plan wspomnień, cudze relacje i opisy wydarzeń powojennych łączą się w harmonijną całość. Miniony czas i spójny system interpretacji sprzyjają także wplataniu w tok narracji socjologicznych hipotez i historycznych objaśnień, a wynikające z opowieści puenty moralne tworzą się jakby same, głównie poprzez sposób przedstawiania losów i wydarzeń. Autokomentarze i uwagi ogólniejszej natury nie tylko więc nie stają się obcym ciałem w *Atlantydzie*, ale stanowią niezbędny estetycznie i intelektualnie jej składnik. Opowieści zasłyszane, wydarzenia domniemane, czy bezpośrednio przeżyte — wszystkie one uzyskują w efekcie końcowym ten sam status, przybierając postać przypowieściowego *exemplum*. Uogólnienia narratora zaś, włącznie z socjologicznymi i historycznymi komentarzami, nabierają charakteru puenty w tej wielogatunkowej paraboli o człowieku i narodach. Wszystko, co wymienilem, układa się zatem w *Atlantydzie* w rodzaj bogatego, nasączonego konkretem fresku.

Jak wynika z powyższych uwag nie jest możliwe streszczenie tego o czym książka opowiada, o ile pragnie się zachować jej główny sens.

Wyrwane z przypowieściowej całości losy Dancygiera, postawa księdza Kabata, zachowanie Serafińskiego, donosicielstwo Podhoreckiego, czy wreszcie tragedia Hampla, zamieniłyby się bowiem wtedy w zbiór ciekawych i pouczających, oburzających i wstrząsających — ale jednak tylko opowiadań... Co powoduje, że tak się nie dzieje? Zapytajmy najpierw inaczej: jakie intencje kierowały autorem *Atlantydy*? Myślę, że i tutaj odpowiedź nie jest taka prosta, choć dostrzec można kilka wyraźnych punktów, do których on zmierza. Jednym z nich jest pragnienie wycieniowania czarno-białych obrazów, chęć sfalsyfikowania różnych stereotypów, a także zamiar sprowadzenia na ziemię abstrakcyjnych wielkich liczb — wszystkich zrodzonych podczas niegdysiejszych, nacechowanych emocjami i ideologiami walk na mity. Chodzi przede wszystkim o pokutujące w Polsce obrazy okupacji, narodowościowe szablony, czy pojęcie zbiorowej odpowiedzialności.

Przykładem może być tu próba przewartościowania okupacyjnego obrazu Polaka. Autor stwierdza, że pokutują tutaj dwa wzajemnie sprzeczne wizerunki. Z konterfektem heroicznego żołnierza i powstańca sąsiaduje bowiem portret kolaboranta występującego się okupantowi, donoszącego na swoich, denuncjującego Żydów:

Dwa obrazy logicznie się wykluczające. Który prawdziwy, który jest kłamstwem? Otóż oba są prawdziwe jako obrazy cząstkowe, oba nieprawdziwe jako przedstawienia całości. Istnieli różni ludzie [...] wielkość jednych była uwarunkowana małością innych. Zadaniem nauki i literatury jest przedstawienie świata jakim był. Nie łatwo. Piszącym trudno poruszać się w przestrzeni wielkich rozpiętości, łatwiej opisywać rzeczywistość zredukowaną do schematu, uladzoną. Dlatego obrazy okupacji są uproszczone i przeciwstawne.

Autor stara się zatem przeciwstawić obu tym obrazom na raz. Dokonywana ze zdroworoządkowego stanowiska (*Istnieli różni ludzie*) diagnoza, wydaje się, w tym wypadku, słuszna. Tutaj wtrąć spostrzeżenie ogólniejszej natury. Gdy narrator *Atlantydy* porzuca konkret, wtedy zdroworoządkowe stanowisko wiedzie go czasami do mądrości z kalendarza, bądź sprowadza na manowce też bardzo problematycznych. W wypadku dwóch obrazów Polaka jednak, banał staje się dogodnym punktem wyjścia do zdyskwalifikowania wyłączności okupacyjnych konterfektów, do ich skomplikowania, a tym samym, przybliżenia do rzeczywistości. *Atlantyda*, sięgając w szarą strefę codziennego życia, wykazuje, że w okupacyjnej rzeczywistości było

miejsce nie tylko na postawy skrajne, ale i na tysiące innych. Co więcej, o powszechnym tle tego okresu decydowały właśnie te, nieheroiczne i nieplugawe zachowania. Stopniowalne w nieskończoność, umotywowane najrozmaitszymi przesłankami i uczuciami postawy dnia codziennego nie pokrywały się, o czym także mówi książka, z podziałami narodowościowymi.

Autor *Atlantydy* nie tylko bowiem stara się podważyć wyłączość dualistycznego wizerunku Polaka, ale chce podać także w wątpliwość stereotyp Żyda. (Tutaj wymieńmy przykładowo nie mieszczące się w potocznym schemacie postępowanie Alfreda Loewenhertza, który przywdział mundur esesmana, czy ginących z bronią w ręku żydowskich partyzantów i powstańców.) W przypadku szablonu Żyda zadanie Lewandowskiego jest o wiele trudniejsze. Jak sam bowiem stwierdza: „na moich oczach Żydzi stają się czymś tak odległym i nieprawdopodobnym jak wytępieni przed wiekami Jadźwingowie”.

We współczesnej świadomości polskiej historia Żydów jest więc nie zapisaną kartą, bądź, co gorsze, na miejsce wiedzy o społeczności żydowskiej: „wkroczył syntetyczny, wielki Żyd, jakaś ciemna bryła, dla jednych przerażająca, dla innych fascynująca, zawsze zmorzasto tragiczna”.

Przy takiej ocenie stanu świadomości nie dziwi, że jedną z głównych części książki jest dokładny opis życia przedwojennego miasteczka, w którym Żydzi oraz reprezentanci innych narodowości stanowili wysoki procent liczby wszystkich mieszkańców. Przedstawieniu relacji między narodowościami towarzyszy opis zbiorowości żydowskiej, gdzie opcjom „bundowskim” przeciwstawiał się chasydyzm, a orientacji syjonistycznej — kompletna polonizacja. Dodajmy jeszcze różnice socjalne społeczeństwa żydowskiego oraz indywidualne charaktery i zachowania ludzkie nie podległe kryterium wielkiej liczby, a otrzymamy wielce skomplikowany i wcale nie jednoznaczny obraz żydowskich losów. Lewandowski pragnąc bowiem przeciwstawić się niewiedzy, wypełnia książkę mnogością konkretnych przypadków. Pokazuje ludzi o imionach i nazwiskach, którzy dostają twarze, ręce i nogi, by móc znowu przechadzać się po uliczkach Konina (bo o to miasteczko tu chodzi). „Syntetycznego, wielkiego Żyda” zastępuje zaś indywidualnymi ludzkimi uczuciami i motywacjami, prywatnymi wyborami wiary i przekonań politycznych, osobistymi kalectwami i zdolnościami.

Nawiasem mówiąc, *Atlantyda* dokonuje także korekty: podważa jednolity wizerunek Niemca, tak dobrze znany z powojennej polskiej literatury, filmu i propagandy. Znowu kategorii „wszyscy” przeciwstawia autor indywidualne przypadki Niemców (wcale nie jest ich tak mało, choć i nie tak znowu dużo), którzy nie brali udziału w faszystowskiej historii. Bez stalowych kłów i pazurów, bez machania nad głową swastyką, nie stają się przeciwwagą win popełnionych przez swoich rodaków, ale formują się w kształt wielkiego znaku zapytania, jakim opatruje autor, obowiązujący jeszcze do niedawna w Polsce, szablon.

W *Atlantydzie* więc zbliżająca się do nieskończoności liczba okupacyjnych ofiar (i polskich, i żydowskich) zamienia się w konkretne losy: właściciela restauracji Kurowskiego, skłóconych braci Horuńczyków, pozbawionego skrupułów Słodkiego, głupiego Natka Nomburga, czy zachowującego w sytuacji krytycznej przyzwoitość księdza Kabata... Usiłując przeciwstawić się narodowościowym schematom, narrator opisuje indywidualne zachowania i przypadki podważające stereotypy obu stron. Nie jest to wbrew pozorom proste, łatwo bowiem można wpaść w mechaniczną symetrię, która równo (sprawiedliwie?) wyciąga przykłady z worka pamięci, układając je w łamiącą dotychczasowe wzory nową, całościową, ale jednak matrycę. Autorowi udaje się w dużym stopniu uniknąć tego automatyzmu, choćby dzięki przypowieściowemu paradygmatowi książki, który pozwala na zamieszczenie exemplum bez słowa komentarza, jak w przypadku Serafińskiego – endecka zaprzyjaźnionego się z rodziną Lipszyców.

Wszystkie opisywane przed chwilą „odbrązowienia” można uznać za pochodną poznawczych zadań historyka, które każą widzieć opisywane wydarzenia w wielorakich uwikłaniach, wpisywać je w szersze tło, a więc uwzględniać wiele ich aspektów. Oprócz opisów jaskrawych zbrodni i jednoznacznych moralnie postaw, wymóg obiektywizmu żąda, by brać pod uwagę także neutralne etycznie czynności życia codziennego. Choć nie eliminuje to zupełnie kryteriów etycznych, to jednak osłabia ich ładunek emocjonalny i zmusza czytelnika do przewartościowania ocen. Dla *Atlantyd* charakterystyczne jest nie tylko zwrócenie się do tła codzienności, ale uczynienie z niej głównego punktu obserwacyjnego, z którego narrator śledzi dziejące się wydarzenia. I tutaj poznawcze zadania historyka zbiegają się z perspekty-



wą pamiętnikarza, który ujmuje tę rzeczywistość poprzez swoje własne, codzienne spostrzeżenia.

Wpływa to oczywiście także na koncepcję niebohaterskiego bohatera, którego przeciętność, a nawet przywary i błędy zapewniają mu większą wiarygodność. Narrator–bohater książki mówi bowiem we własnym imieniu. Nie ma ambicji zbawiania świata. Dokonuje subiektywnych, czasami nawet pochopnych sądów, które umotywowane są jedynie jego prywatnym punktem widzenia. Wszystko to składa się na bogaty psychologicznie i przekonujący, włącznie z wyrozumiałością i małostkowością bohatera, obraz. Narrator–bohater zaczyna zatem od siebie, od swoich win i pomyłek. Że nie jest tu konsekwentny?... Że nie dowiadujemy się wyraźnie, jakimi kierował się motywami zatrzymując do 1964 roku mundur oficera Akademii Politycznej? Pytanie to jest prawomocne w świetle dokonanych przez niego już w 1947 roku obserwacji świadczących o małości systemu. Rozliczając się z samym sobą przechodzi do swoich najbliższych. Do elementarnych ludzkich uczuć: przyjaźni, niechęci, miłości. Do własnych sąsiadów i ich sąsiadów, do uczciwości, zawiści i tolerancji. Do lokalnych władz i prowincjonalnych instytucji, jak szkoły i biblioteki. Właśnie do codziennego życia, o którym lubią zapominać wielkie ideologie i którym pogardzają narodowościowe stereotypy. Stąd poetka małej skali, prowincjonalnej zwyczajności połączona z pozaczasową stylistyką biblijną i biblijnymi przypowieściami. Stąd informacje o rodzaju ubrań, cenach produktów i usług, sąsiadują z opisami uniwersalnych ludzkich uczuć. Odtworzenie życia codziennego i spojrzenie przezeń na panujące klisze, pozwala nie tylko na ich falsyfikację, ale przyczynia się także do dokonania ogólniejszych spostrzeżeń i przewartościowań. Historycznych. Socjologicznych. Nawet historiozoficznych... Nawiasem mówiąc, ciekawa jest hipoteza na temat powszechności i roli zjawiska awansu i mimikry, któremu podlegali w okresie powojennym „klasowo bliscy”. Hipoteza ta podważa monumentalną diaboliczność komunizmu i stawia znak zapytania nad nieuchronnością heglowskiego ukąszenia. Co więcej, hipoteza ta, z braku bezpośrednich wyjaśnień na temat motywacji kierujących bohaterem jako oficerem politycznym, daje nam też i w tej materii jakieś pośrednie wyjaśnienie. Brak konsekwencji nie razi zatem w tym wypadku, a nawet uprawdopodobnia charakterologicznie opisywaną postać bohatera. Ni Żyda, ni Polaka. Nie utożsamiającego się

w pełni z żadną z kultur, zarazem nie wypierającego się żadnej z nich. Niezdolnego do wyrzeczenia się wartości, które w kulturach tych uznaje za cenne. Lewandowski opisuje więc także wielką i skomplikowaną tragedię osobistą bohatera poszukującego tożsamości, który pozostaje na koniec, z własnego wyboru, tym, kim był wyruszając w drogę — pariasem koczującym na wszelkich możliwych dla człowieka stykach: kultur, środowisk, statusów, ideologii i mitów.

Zrozumiałem, że sążone mi zawsze pozostać kimś z zewnątrz, Żydem dla Polaków, Polakiem dla Żydów. W najlepszym razie podejrzanym Polakiem dla Polaków, podejrzanym Żydem dla Żydów.

W *Atlantydzie* można się więc natknąć na tragiczną nutę także tam, gdzie na pierwszy rzut oka nie powinna się ona pojawić. Pomimo początkowych deklaracji narratora o zaletach „wielokulturowości”, książka nasycona jest tęsknotą za domem dzieciństwa („słup świata”) oraz żalem i jakimś męskim smutkiem nad dolą bohatera. Wstrząsające jest jego zagubienie i wieloletnie poszukiwanie ostatecznej odpowiedzi na pytanie: k i m j e s t e m? Ale taką cenę, cenę za własne człowieczeństwo, jak sugeruje Lewandowski, trzeba zapłacić. Bohater jawi się więc nam także jak postać z przywoływanego przez siebie Żeromskiego. Jakiś kuzyn Judyma wyrzekający się świadomie prostych pytań o tożsamość pod rozdartym drzewem narodów.

O czym zatem ta przypowieść? O Polakach? O Żydach? O innych nacjach? O kłopotach z tożsamością? O problemach przedwojnia? O wojennym zbydłczeniu? Powojennej okupacji i zeszmaceniu? Po trosze tak, choć nie tylko. Narrator książki bowiem opisując to, co się wydarzyło, stara się zarazem odnaleźć jakiś tego sens. Czy wszystkie wysiłki i zaniechania, prywatne porażki i sukcesy, chwile miłości i nienawiści, indywidualne oraz zbiorowe tragedie, rodzące się i umierające nadzieje, chwile szczęścia i rozpacz, świadectwa wielkości i małości — czy wszystko to ma ulec zapomnieniu? Czy to, co było istotną treścią ludzkiego życia warte jest może czegoś więcej, niż tylko „głuchego, drwiącego śmiechu pokoleń”? Narrator *Atlantydy* nie zadaje takich pytań bezpośrednio. Dostrzec je można natomiast u źródeł miejscami wylaniającego się, miejscami niknącego w książce schematu eschatologicznego. Istnieje bowiem w *Atlantydzie* wyidealizowany pod względem „wielonarodowościowym” (choć nie idealny) punkt wyjścia. Jest nim w tym wypadku przedwojenne miasteczko

Konin, które, jak spostrzega narrator: „okazało się lepsze niż przeciętność, nawet dużo lepsze”. Istniejące antagonizmy narodowościowe, choć dolegliwe, wytłumaczalne tam były bowiem w granicach zdrowego rozsądku — kategorii dla autora *Atlantydy* bardzo istotnej. Jak w każdej eschatologii dochodzi także później do upadku człowieka. Upadkiem tym był faszyzm, II wojna światowa, czas okupacji, a także (choć w mniejszym stopniu) komunizm. Każdy na swój sposób doznał upadku, wydaje się mówić Lewandowski. Niezależnie od statusu społecznego. Niezależnie od płci i narodowości. Często także niezależnie od swojej woli. Stąd kluczowym przykładem stają się w książce losy fordanserki, które odczytywać należy jako figurę ogólniejszą, albowiem: „wszyscy żeśmy fordanserowali pod Niemcami”. Przywoływany schemat dopełniają wreszcie nadzieje na odnowę człowieka, delikatnie zarysowana wizja idealnego stanu. Nie powinien to być stan przedwojenny. Nie tylko dlatego, że w zsekularyzowanym świecie *Atlantydy* rozwój historii podporządkowuje się idei postępu, a nie woli Bożej. (Notabene idea postępu odciska swój ślad na bardzo surowej i, moim zdaniem, zbyt uproszczonej ocenie chasydyzmu.) Okres przedwojenny nie może być wzorem także i z tego powodu, że — pomimo wszystko — stosunki narodowościowe dalekie wtedy były od ideału. Pożądaną wizją nie może być, skompromitowane już dostatecznie, idealne społeczeństwo bezklasowe ani, tym bardziej, mistyczny narodowy organizm. Upragnionym wyjściem okazuje się więc, jakby wbrew ambicjom i temperamentowi narratora, realizacja prywatnego, godnego, choć zwykłego, codziennego życia. Życia, które toczyłoby się bez obaw przed nędzą i bez strachu przed konfliktami narodowościowymi. W książce Lewandowskiego najważniejszą sprawą nie jest zatem nawet problem zbawienia i pojednania narodów (choć pośrednio, na swój sposób, także i on!), lecz problem normalnego i sprawiedliwego współżycia ludzi, bez względu na ich pozycję społeczną i przynależność narodową. Taka właśnie jest najważniejsza perspektywa, z której autor patrzy na historię. Perspektywa społecznej utopii, która obejmuje nadrzędnym sensem wszystkie przedstawione przykłady i upodabnia książkę do przypowieści.

Tytułowa *Atlantyda* zatem, to nie tylko zatopiona w przeszłości wyspa, czyli kraina na wpół geograficzna, na wpół mityczna. Po części polska, po części żydowska, choć i inne nacje mają tam swoje miejsce. Zatopiony w czasie łąd, ze strzaskanymi kolumnami mieszczańskich

kamieniczek, szczapami drewna znieruchomiałymi w dzielnicach biedoty, ze sterczącymi z dna, wypełnionymi sproszkowaną krwią i popiołem ludzkimi urnami. To także przedwojenny, wojenny i powojenny Konin, z zachowanym przez wojnę, tkwiącym w centralnym punkcie, niczym przestroga sfer i pomnik grozy, wielkim kotłem do produkcji mydła. Miasteczko ożywając pod piórem Lewandowskiego, pulsuje ziemskim, intensywnym i krótkim, pięknym i lajdackim, bogatym i głodnym... życiem. Zanim jednak znowu zniknie, spogląda w przyszłość, gdzie, utkana z mgieł literatury i nadziei autora, unosi się wielokulturowa wyspa Utopii...

Nie da się chyba jednoznacznie zakwalifikować tej książki. Przypowieść...? Pamiętnik...? Utwór dydaktyczny...? Próba literackiej syntezy...? Esej historyczny...? Czesław Miłosz, pisząc do jej autora, stwierdził po prostu: „Książka ta bardzo mnie poruszyła i uważam ją za mądrą i potrzebną”.

Warto podkreślić, że przypowieść Lewandowskiego przywołując schemat eschatologiczny modyfikuje go zarazem. W *Atlantydzie* nie dochodzi bowiem do upadku rodzaju ludzkiego, ani człowieka jako takiego, lecz do upadku człowieka definiowanego w kategoriach kresu zbiorowości narodowej lub klasowej, jakiegoś nacjonalistycznego mr Hyde'a, czy proletariackiego Golema. Od klasycznej eschatologii różni *Atlantydę* także to, że sens dziejom widzianym z perspektywy po upadku nadaje pojedynczy, prywatny człowiek, którego „zdrowy rozsądek”, jak pisał kiedyś Miłosz:

zawsze przegrywał, jakby potwierdzając, że dobry jest tylko w kręgu jednostki, ale do spraw ludzkich zbiorowości nie ma zastosowania. Przegrywał jednak na krótką metę i tu okazywało się, że naprawdę tylko jednostka jest realna, nie masowe ruchy w których sama się dobrowolnie zatracza, żeby uciekać od siebie.<sup>3</sup>

Wybór konkretnej jednostki i jej zdroworozsądkowych przeświadczeń dokonany przeciw ideologicznej hybrydzie, prowadzi bezpośrednio do koncepcji indywidualnej odpowiedzialności, którą kieruje się nie tylko sam bohater książki, ale która zaważy na całej *Atlantydzie*. Przyjęcie tej koncepcji pozwala, na przykład, na udzielenie przez bohatera pomocy Polakowi, którego ojca podejrzewa on o morderstwo osoby mu bliskiej, bo: „nie może mieć oskomy syn, dlatego że ojciec jadł ciemne winogrona”.

---

<sup>3</sup> Cz. Miłosz *O emigracji do Ameryki*, „Kultura” 1969 nr 5, s. 16.

Wynikająca z tej koncepcji jednoznaczność winy i odpowiedzialności nakazuje winić za zbrodnie osoby, które te zbrodnie bezpośrednio popełniły, które można wskazać palcem, którym można udowodnić, że to one strzelały, pchały do wagonów i gazowały, którym — co już jest inną sprawą — można wybaczyć lub nie wybaczyć. Jednoznaczność ta postawi narratora *Atlantydy* przed nie lada problemem, gdy dojdzie do kwestii odpowiedzialności narodu niemieckiego za hitlerowskie zbrodnie. Zdroworoządkowa perspektywa i namacalna chęć wskazania zła znowu tutaj przegrywa, bo umykają jej jakby najważniejsze dzisiaj aspekty tego skomplikowanego problemu:

Obawiam się [...], że o odpowiedzialności mówią ci, co w niczym nie są winni. Obawiam się, że winnym owa skrucha jest na rękę. Jeśli cały bowiem naród jest winien, jeśli w każdym tkwi jakiś ułamek mordercy, to na rzeczywistym oprawcy ciąży tylko ułamek zbrodni. Zbrodnia odrealnia się, z rzeczywistej staje się metafizyczną, egzystencjalną.

I tutaj wypadnie się sprzeciwić, albowiem zbrodnia się nie odrealnia i nie staje się metafizyczna. (Co dziwniejsze takiemu wnioskowi przeczą prawie wszystkie opisowe partie książki.) Jest jak najbardziej konkretna, mimo że trudno wymierzyć jaki procent winy przypisać tym hitlerowcom, którzy planowali zagładę i z za swoich biurków wysyłała enigmatyczne rozkazy o eksterminacji, a jaki procent tym, którzy wykonując te rozkazy, dokonywali własnymi rękami masowych mordów. Nie umniejsza wcale realności holocaustu fakt, że dokonany został czterdzieści lat temu. Zbrodnia jest natomiast w najwyższym stopniu egzystencjalna i jako taką należy ją przenieść w trochę bardziej skomplikowany plan rozważań i powinności. Bezpośrednie, wzajemne i jednoznaczne powiązanie odpowiedzialności z winą prowadzi narratora do zapomnienia o innym rodzaju odpowiedzialności, odpowiedzialności pojętej jako obowiązek moralny. Chcąc skutecznie sprzeciwić się wielkim dwudziestowiecznym systemom, które oddzieliły zło od prywatnej odpowiedzialności, winę od indywidualnego obowiązku moralnego, narrator popada w drugą skrajność. Zapomina jakby o takim rozumieniu obowiązku moralnego, które nie wyrasta tylko z pytań o konsekwencje karne, czy z elementarnej poczucia przyzwoitości, ale tworzy się z namysłu nad własną tożsamością. Pamięć o zbrodni, jako o konkretnym, strasznym fakcie masowego ludobójstwa, pomaga tutaj już nie w szukaniu bezpośrednio winnych,

ale w kształtowaniu się zmusznie poszukiwanej po wojnie przez Niemców nowej tożsamości.

Analogicznie, zachowując oczywiście wszystkie różnice oraz przykładając odpowiednie miary i proporcje, można mówić, jak sądzę, o procederze polskiego antysemityzmu i naszej powinności, aby proceder ten, choć myśmy w nim nie brali udziału, był pamiętany, ot choćby, żeby pozbyć się manicheizmu z polskiej świadomości. Paradoksalne w *Atlantydzie* jest znowu to, choć jej narrator nie formułuje bezpośrednio takich wniosków, że cała książka, cała jej rzeczywistość przedstawiona (co może i lepiej z punktu widzenia artystycznego) właśnie tego się domaga.

Na *Atlantydę* można zatem spojrzeć także jak na przypowieść o przeszłości, która nie chciała przeminąć, która zawisała nad nami, jak dym z krematoryjnych kominów i trwała tak, pomimo tego, a może właśnie dlatego, że jej nie dostrzegano, czy nie chciano dostrzec. Książka upomina się bowiem nie tylko o wyważony obraz okupacji i oddemonizowany konterfekt powojnia. Główną jej troską jest znalezienie miejsca dla skomplikowanych żydowskich losów, chodzi o, jakby nie było, należną im przestrzeń w polskiej świadomości. Czyni to nie tylko poprzez sam fakt poruszenia tematu i rozliczenie się z nagromadzonymi przez lata stereotypami, ale także poprzez podejście do problemu, które nie stawia współczesnego czytelnika pod murem zbiorowej winy. Dla mojego pokolenia, które nie przeżyło ani czasu okupacji, ani lat stalinowskich, które nie spotkało się w praktyce ze społecznością żydowską, w którego świadomości wiedza o kulturze żydowskiej stanowi pustą kartę – *Atlantydą* może stać się więc normalnym kontaktem, wprowadzeniem do tej – stanowiącej jeszcze do niedawna tabu – problematyki.

Moralne przesłanie tej książki może wydać się zbyt proste, zbyt łatwo uwalniające współczesnego człowieka od mroków przeszłości. Tak chyba jest, choć jednocześnie nie jest. Uwalnia ono nas bowiem jedynie od anatem narodowych i zbiorowych abstrakcyjnych win. Nie uwalnia nas natomiast od odpowiedzialności za winy. Odpowiedzialności, która przeniesiona w wymiar jednostkowy i zarazem uniwersalny polega na poszerzaniu, już na własną rękę, wiedzy o historii społeczeństwa żyjącego tyle stuleci tuż za naszą ścianą. Odpowiedzialności przejawiającej się w zainteresowaniu kulturą żydowską wyłącznie dla niej samej, w poznawaniu tradycji, która tak naprawdę

nigdy poważnie nie weszła do polskiej kultury. *Atlantyda* nie uwalnia nas wreszcie od pamięci o pomordowanych ludziach, jakimi podłymi czy szlachetnymi by nie byli żyjąc...

I jeszcze jedno! Wiem, że zbliżenie nie jest tak proste, bo jeżeli ludzie są jak góry, to co dopiero powiedzieć o narodach... Myślę jednak, że książka Józefa Lewandowskiego może o jakiś ułamek historii proces ten przyspieszyć.